



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na Wschodzie

BIEŁYJ ORIOŁ — ORGAN POLSKOJ ARMII W S. S. S. R.

ROK II Nr 21 (25)

NIEDZIELA, 14 CZERWCA 1942 R.

CENA 50 KOP.

Niech żyją Stany Zjednoczone! Niech żyje Prezydent Roosevelt!

W dniu 14-ym czerwca Stany Zjednoczone Ameryki Północnej obchodzą święto swojego Sztandaru. Przy Sztandarze tym skupi się w tym dniu nie tylko społeczeństwo amerykańskie, ale i te narody, które walczą dziś wraz z Armią Amerykańską o wolność świata. Dzień ten stanie się niejako wspólnym uświadomieniem sobie i sprawy samej wojny i tych ideałów, które poprzez zwycięską wojnę musi się przywrócić wszystkim ludziom.

Polska szczególnie odczuwa swoją przynależność do sprawy tej wojny o lepszą i sprawiedliwą przyszłość. Nie tracąc ani na chwilę wiary w zwycięstwo Polacy mają całkowite zaufanie do swojego wielkiego sojusznika. Kilka miesięcy temu Prezydent Roosevelt w Orędziu, wystosowanym do Narodu Polskiego, powiedział: „Stany Zjednoczone użyją wszystkich swych sił i zasobów, aby odbudować Polskę i dać Narodowi Polskiemu takie warunki życia, aby ewentualność powtórzenia się straszliwych doświadczeń, jakie obecnie przeżywa, została raz na zawsze uniemożliwiona”. Powiedział też: „Świat narodów wolnych musi uważać za swój pierwszy i szczytny obowiązek przywrócić Polsce wolność i wynagrodzić jej cierpienia i straty, które poniosła i w dalszym ciągu ustawicznie ponosi”.

Prezydent Roosevelt wypowiedział te słowa w chwili, kiedy Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Zapewnienia, złożone Polakom w takim momencie, tak szczerze i tak mocno, mają dla nas znaczenie ogromnej wagi. Stany Zjednoczone, wnosząc wkład krwi do tej wspólnej sprawy, będą stały na straży sprawiedliwego pokoju. Wierzywny Prezydentowi Rooseveltowi i wielkiemu Narodowi Amerykańskiemu. Święto gwiazdowego Sztandaru obchodzimy więc z uczuciem niezachwianej przyjaźni i z podziwem dla dzielnej Armii Amerykańskiej.

* * *

Oddajemy w ręce naszych czytelników 25-ty numer „Orla Białego”. Dwadzieścia pięć numerów tygodnika, wydawanego u siebie, w kraju, w normalnych okolicznościach, nie stanowi wydarzenia godnego uwagi.

Ale nasze pismo powstało i wychodzi w okolicznościach niezwykłych. Zostało stworzone dla wojska, formującego się o kilka tysięcy kilometrów od Ojczyzny.

Jest obok wychodzącej w Kujbyszewie „Polski” jedynym polskim pismem, zaspakajającym choć w drobnym ułamku potrzeby duchowe milionowej masy naszego uchodźstwa w Z.S.R.R. Jest w braku polskich podręczników niejednokrotnie elementarzem. Jest łącznikiem między Armią Polską w Z.S.R.R. a Polskimi Siłami Zbrojnymi w Szkocji, w Kanadzie, w Libii, Egipcie, Palestynie i Iranie. Ma nas zapoznać z czynami naszych braci, walczących bez przerwy od wrześniowej katastrofy na lądach, morzu i w powietrzu i ma być dla nich świadectwem naszego tutaj istnienia, naszej pracy i naszej do czynu gotowości.

Mamy dowody, że zadanie nasze choć w małej części wypełniliśmy. Świadectwem tego są napływające do nas listy żołnierzy i mniej od nich szczęśliwych braci i siostr, co munduru nie noszą, a którym jeden z egzemplarzy pisma naszego przypadkiem gdzieś wpadł w ręce. Świadcą o tym streszczenia a nawet przedruki artykułów „Orla Białego”, zamieszczane w wydawanej w Anglii „Polsce Walczącej”, kanadyjskiej „Odświeży” oraz innych pismach polskiego żołnierza.

W tych dniach doszły do nas listy i materiały prasowe nadesłane z placu bojów legendarnej już dziś Brygady Karpackiej, spod Ghazali i Tobruku. Publikujemy je częściowo w naszym dzisiejszym numerze.

Niechaj będą dowodem, że wszędzie, gdziekolwiek nas los rzucił, ożywieni jesteśmy tym samym niezłomnym duchem walki, i że łączą nas wszystkich ta sama troska o dobro najwyższe: Ojczyznę!

REDAKCJA „ORLA BIAŁEGO”

Ks. Biskup Gawlina wśród żołnierzy Armii Polskiej w Z. S. R. R.

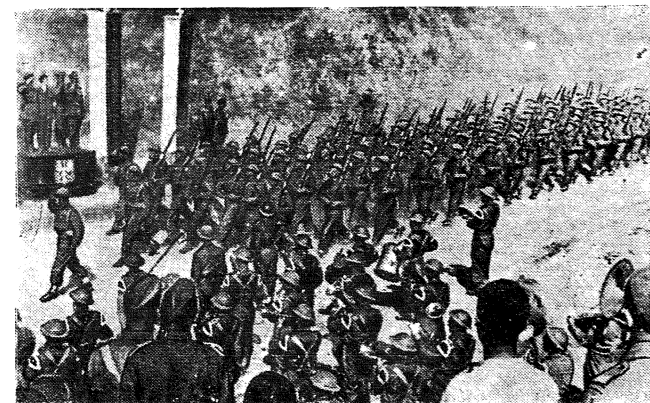
Przed paru dniami przybył do Sztabu P. S. Zbr. w Z. S. R. R. ksiądz Biskup Polowy W. P. Józef Gawlina. Wizyty tej spodziewaliśmy się od dawna. Wiadomość o Jego przybyciu wywołała wielką radość wśród wojska. Bohaterska postać Biskupa Gawliny, nieustraszonego bojownika polskości, jest drogą sercu każdego polskiego żołnierza. Daleką i długą, trwającą ponad 3 miesiące podróż, odbył ks. Biskup częściowo morzem na polskich statkach, dalej samolotem nad Afryką, Azją, do Iranu.

W Egipcie i Palestynie odwiedził oddziały polskie, a w Teheranie witał niedawno tu przybyłych żołnierzy polskich i ludność cywilną. Biskup Gawlina urodzony na wsi, na Śląsku koło Raciborza, za śmiało okazywanie swej polskości dużo musiał wycierpieć w szkołach niemieckich.

Studia akademickie odbył na Wydz. Teologicznym, na uniwersytecie we Wrocławiu. Po plebiscycie, wraz z ówczesnym administratorem apostołskim Ks. Augustem Hlondem, organizuje diecezję śląską. Pracuje następnie w Kurii Biskupiej. Zostaje prałatem i kanonikiem w Katowicach, pracując nad odniemieniem kościoła na Śląsku. Dzięki swym zdolnościom pierskim wybija się jako działacz prasowy, z całą energią broniący spraw religijnych i demaskujący szkodliwą propagandę niemieckich gazet. Ks. Biskup rzucił również myśl założenia Katolickiej Agencji Prasowej i zostaje jej pierwszym dyrektorem.

W roku 1933 zostaje Biskupem Polowym i odtąd chlubnie spełnia trudne i odpowiedzialne obowiązki najwyższego Pasterza Armii Polskiej. W czasie tragicznych dni wrześniowych, zostaje ranny odłamkiem bomby lotniczej.

Po wyzdrowieniu ks. Biskup udaje się do Rzymu, gdzie Ojciec Święty odnawia wszystkie jego prawa Biskupa Polowego. Następnie organizuje służbę duszpasterstwa Armii Polskiej we Francji. W czerwcu 1940 r. zostaje ewakuowany na teren Anglii. W ciągu 10 miesięcznego bombardowania Londynu trwa na stanowisku. Swą nieustraszoną odwagą okazaną w czasie ciężkich dni Anglii, ks. Biskup Gawlina zdobył sobie jeszcze większą miłość i szacunek wśród wojska, stając się mu bliskim nie tylko jako kapłan ale i jako żołnierz.



Dowódca Polskich Sił Zbrojnych w Z. S. R. R. i w Iranie gen. Anders przyjmuje pierwszą defiladę po powrocie z Londynu.

„KULTURA”

Kolonie — raz! Essen — dwa!... Cóż za wrzask podniosła propaganda niemiecka po tym wyczynie R.A.F.u! Cóż za wściekłość, co za potok ordynarnych wyzwisk, wymysłów, przekleństw! „Wandalizm! Mordercy! Bandyty! Terrorysty!” Posłuchajcie tylko: „barbarzyńcy śmieli podnieść rękę na bezbronne miasta, wymordować spokojną, cywilną ludność, zniszczyć skarby kultury!”

Hallo! Wolnego! Stop. Tu padło słowo o wielkim ciężarze gatunkowym — KULTURA.

Drwiąc wzruszamy ramionami słysząc lamenty niemieckiego radia na temat zniszczenia „bezbronnej Kolonii”, chronionej ot tak — na wszelki chyba wypadek — przez... 500 dział p-łot, na temat pięknych, rzeczywiście pięknych, a tak „podle i podstępnie” zniszczonych mostów na Renie, mostów bez których wywożenie wszelkiego dobra z okupowanej Francji przecież nie będzie łatwe, na temat zrównania z ziemią takiej niewinnej, prowincjonalnej miejsciny jak Essen z warsztatami Kruppa... Możemy nawet złośliwie pokpić sobie z bezradnej wściekłości propagandy niemieckiej, ale gdy ona wytacza tak ciężką armatę jak zarzut zniszczenia kultury — chce się wałnąć pięścią w stół i krzyknąć: „Milez lepiej szkopicie jeden, nie wolno tobie tym wielkim słowem wycierać pyska!”

Niemcy nigdy nie mieli poczucia humoru, nigdy też nie odznaczeni się taktem, i może dlatego tak trudno zrozumieć im jak śmiesznie, jak niewłaściwie, jak beznadziejnie głupio brzmi w ustach Niemca powoływanie się na kulturę i to... w trzecim roku ich wojny totalnej.

Z Kulturą, z wielką, prawdziwą kulturą, będącą skarbem całej ludzkości, skarbem zbieranym setkami i tysiącami lat, mózgiem, rękoma i sercem najlepszych, najgodniejszych, wybrańców... z tą kulturą zerwali Niemcy dawno i zerwali bezapelacyjnie. Wprowadzili natomiast jakąś namiastkę, jakiś swój własny „erzatz”, jakąś — „kulturę nowych, odrodzonych Niemiec”. Coś — przed czym cały świat miał zamilknąć w podziwie i uchylić czoła.

Na wartości jednak tego „erzatzu” poznano się prędko. Z początku ze zdziwieniem przypatrywano się kulturalnym wyczynom nowych Niemiec w ich własnym kraju: palenie stosów książek, dzieł sztuki, wyrzucanie poza granicę Reichu szeregu mężów nauki, przedstawicieli literatury, sztuki, twórców jednego po drugim obozów. Słyszało się nawet o mordach masowych, o jakichś „nocach długich nocy”... W ramach tej „kultury nowych Niemiec” wydajnie pracowała „nauka” niemiecka: fałszowano historię, fałszowano statystyki, tworzone mity, tworzone nawet nową religię.

„Kultura nowych Niemiec!” Tak, tak. Umieszczamy to zdanie w cudzysłowie, mówimy z przekąsem. Mało tego — z obrzydzeniem i pogardą. I to cały świat, a my, Polacy, przede wszystkim. Bo mamy powody, mamy wielki, niezamknięty jeszcze rachunek krzywd, mamy straszne rany, których i czas nie zagoi...

Nie mówię o wojnie. Nawet o tej, najstraszniejszej, najbezwzględniejszej, co to w perzynę kraj zamienia, pożogę i mord niosąc. Mówię o planowym, doskonale zorganizowanym i z zabójczą konsekwencją przeprowadzanym łepieniu wszystkiego wartościowego co jest w Narodzie Polskim. O szatańsko pomyślanej zagładzie kultury polskiej, o mordzie duszy i myśli polskiej.

Minął wrzesień i październik 1939 roku. Przestały dymić ruiny Warszawy,

Lublina, Łowicza i tylu innych miast... Ale nie przestał krwawić Kraj, ale nie ustał mord, rabunek, hańbienie świętości narodowych, a uścisk na gardle jest coraz mocniejszy... I trwa... po dziś dzień!

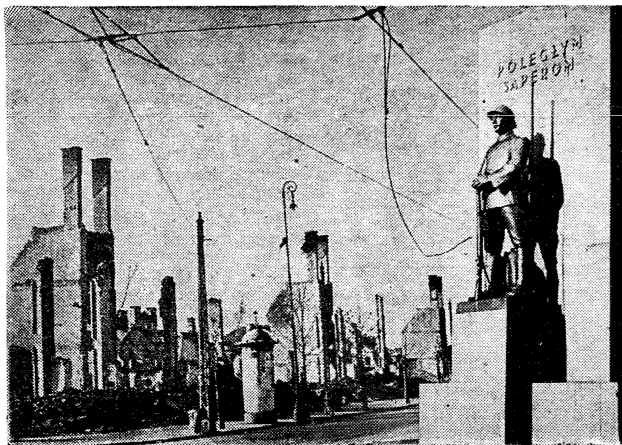
Kat w Niemczech występuje we... fraku, najdziśsze bezprawie cynicznie ubiera się tam w paragrafy „nowego, niemieckiego porządku”, wyczyny godne ludzi epoki kamiennej tłumaczy się... potrzebą „kultury niemieckiej”.

Właśnie trochę o tej „potrzebie kultury niemieckiej”. Nie za dużo, bo

powszechnych i trochę szkół zawodowych, ale tylko tych — na najniższym poziomie, wypuszczających co najwyżej podmajstrzych — broń Boże kogoś toby miał aspiracje i kwalifikacje na kierownicze stanowisko. Te są zarezerwowane dla Niemców. To są potrzeby „kultury niemieckiej”.

Biblioteki, muzea, zbiory sztuki... To co ocalało w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego oddano... na przemiał do papierni! Podartymi, zniszczonymi książkami Biblioteki Politechniki — owijano wywożone z laboratoriów przyrządy. Bibliotekę Pań-

PLĄCI ZA TO KOLONIA, ESSEN, BREMEN...



Warszawa we Wrześniu.

Domy w gruzach. Cudem ocalał jedynie pomnik Sapera.

wołowej skóry nie starczy na spisanie tych faktów, niemających w historii precedensu, a hańbą na wieki naród niemiecki okrywających.

A więc: zakłady naukowe wyższych uczelni w Polsce. Co ocalało po wojnie zostało rozgrabione, wyraźnie: zrabowane przez okupantów. Naturalnie wbrew wszelkim przepisom prawa międzynarodowego. Najcenniejsze zbiory i przyrządy naukowe wywieziono, resztę zniszczono lub w najlepszym razie pozostawiono na łasce losu, pod zawalonymi dachami, w lokalach zniszczonych, bez szyb i opału, ale za to z wyraźnym zakazem — konserwacji. Celowo, konsekwentnie! Jeżeli „administratorem” jakiegoś ocalałego, a niezajętego przez Niemców zakładu naukowego pozostał profesor — Polak, to równolegle idzie ostrzeżenie, że w zakładzie tym absolutnie nie wolno przeprowadzać prac naukowych, robić doświadczeń, pracować nad czymś, co mogłoby wzbogacić naukę przez... Polaka.

Już trzy lata jak ani jeden wyższy zakład naukowy polski nie jest czynny! Trzy lata! Czy czytelnik zdaje sobie sprawę jaka straszna wydra uczyniła się w warstwie fachowej inteligencji naszego kraju? Przez trzy lata ani jeden lekarz, prawnik, inżynier, nauczyciel nie zasiłił szeregów i tak już mocno przetrzebionych wojną! Przez trzy lata nikt nie wstąpił do „Alma Mater” a i ci co studiowali możliwości tej są pozabawieni.

„Inteligencja polska nie jest nam potrzebna” cynicznie oświadczyli Niemcy. Są konsekwentni. A wstę nie tylko wyższe uczelnie, ale — ani jedna, piszę wyraźnie, ani jedna szkoła średnia nie jest czynna w kraju. Trochę szkół

wersyteckiej około 10.000 rycin i rysunków ze zbiorów Stanisława Augusta. Najcenniejsze zabytki rękopiśmiennictwa z biblioteki Zamoyskich i Krasieńskich...

Muzea... Całokształt stracił nieznaną, bo Polacy nie są nawet na próg dopuszczani, ale wiemy — o obiektach, najcenniejszych, najdroższych kulturze polskiej, które zostały wywiezione do Reichu, które zdobiją urzędy, kasyna, domy dostojników.

Wiemy jak żona gubernatora krakowskiego, p. Waechter, chodziła po Muzeum Narodowym i dawała dyspozycje: to, i to, a i tamto zawieźć do mego mieszkania...

Wiemy, jak zlikwidowano właściwie czytelnictwo w Polsce nakazując wycofać z czytelni — (Mój Boże! spis tych zakazanych książek drukowano na kilkudziesięciu stronach!...) — nawet „Stary Baśń” Kraszewskiego, nawet siedemnastowieczne poematy Wacława Potockiego, nawet pamiętniki Kordeckiego, dzieła Staszica, Frycza Modrzewskiego i wszystko co pisano o dziełach Kopernika, wielkiego astronoma — Polaka! Z dziedziny historii naturalnie nic nie pozostało. Sięgnięto nawet do prehistorii i nakazano wycofać wszystkie książki, które nie stwierdzają... „odwiecznych tradycji germańskich nad Wisłą”. Wycofać i zniszczyć.

Wiemy o wywiezionym skarbcu wawelskim, o włóczni św. Maurycego, o gobelinach, o słynnym ornamencie Kmita, o skarbcu kościoła Mariackiego, o ołtarzu Wita Stwosza, o katedrze warszawskiej, wiemy...

Dość! Dość! Dość tej małej cząstki, garsteckiej zaledwie naszego rachunku z „kulturtregerami”. Dość! Szanujmy swoje nerwy!

Trzeba wiele, wiele jeszcze wyczynów R.A.F.-u i naszych dywizjonów lotniczych, aby złamać pychę krzyżacką, aby Niemcy zrozumieli, że dla nas problemem ich „kultury” jest i pozostanie: Ministerstwo Oświaty — zamienione na lokal Gestapo, Uniwersytet — na biuro Sicherheitspolizei, Domy Akademickie — na koszary policji, tak jak arcydzieło starej architektury — Kurza Stopka Wawelska — przerobiona na... ubikacje klozetowe, tak jak symbolem „kultury nowych Niemiec” jest policzek, wymierzony przez gestapowca na stopniach Uniwersytetu Jagiellońskiego Jego Sędziemu Rektorowi...

Dość, dużo trzeba jeszcze nalożyć, aby uratować prawdziwą Kulturę, przez duże „K” i bez cudzysłowu, i dlatego też mówimy z całego serca: „Koleży z R.A.F.-u — Good luck!” „Chłopczy z P.A.F.-u — Szczęść Boże!”

W-r

* * *

Dzięki Ci, Boże, za wygnanie,

Za mój opustoszały dom,

Za ból, za rozpacz, za czekanie,

Niech tylko z męki mej powstanie

Sen — niepodobny wszystkim snom.

Dzięki Ci, Boże, za te krzyże,

Które mi sam pomagasz nieść.

Daj mi się jeszcze ugiąć niżej,

Niech tylko przez to się przybliży

Najradośniejsza, cudna wieść.

Jadwiga Czechowicz

Z ŻYCIA NASZYCH ODDZIAŁÓW

ŚWIELICA POD GWIAZDAMI



Ćwiczymy w maskach gazowych

Rozpoczęliśmy serię nowych świetlic pod gwiazdami... Dlaczego właśnie pod gwiazdami? Zapyta zdziwiony czytelnik. Otóż zupełnie prosto. Z pracą świetlicową wyszliśmy pod gwiazdy z dusznej świetlicy, gdzie ciasno, tłoczno i mroczno.

Nigdy jeszcze żadne świetlice nie brzmiały takim życiem, nie pulsowały takim tętnem, jak te nasze świetlice pod gwiazdami.

Śmiech rozlega się po obozie bo w zabawie bierze udział dowcipny kapral, zapisujący w humorystycznym testamencie swój ruchomy majątek. Szefowi zapisuje swą głowę, panu porucznikowi długi, świetliczarce serce... Syją się dowcipy, brzmi muyczka, huczy śpiew z setek piersi... Chłopcy są szczęśliwi... Komunikaty z „kiszmiszami”, jak nazywamy komunikaty z dobrymi wiadomościami, nastroją ich poważnie.

Oświatowy objaśnia, dorzuca do-

wcipne komentarze. Wybuchą ogólna wesołość. Wyczuwa się wśród tych żołnierzy chęć do czynu, zdecydowaną postawę na wszystko, byle tylko oczekiwać chwili kiedy znowu, znaną melodią, zagrają cekaemy, zaświstają szrapnele, zagrzmia baterie. Wszystkich ożywia jedna myśl: odbudowy domu zniszczonego przez barbarzyńskiego najeźdźcę.

Wreszcie brzmi importowane z Anglii „Tipperary”.

Długi szlak jest do mej Ojczyzny, Długi czeka nas trud... Świetlica dobiega końca, jeszcze trochę śpiewu „O sercu w plecaku”, jeszcze „O żołnierzyku z piernika”... i służbowi zaczynają wołać: „Przygotowanie do modlitwy”. Chłopcy rozchodzą się. Pozostaje pusta świetlica... i tylko gwiazdy, co świeciły radojącym się życiem chłopcom, mrugają filuternie.

E. L. Holdanowicz

NIEZŁE WYNIKI SPORTOWE W W...

Z garnizonu w W... otrzymaliśmy interesujące sprawozdanie sportowe, które drukujemy poniżej.

Ze swej strony musimy dodać, że w niektórych konkurencjach osiągnięto zupełnie dobre wyniki.

N. p. na uwagę zasługuje czas pchor. Głowackiego, który wygrał 100 m w 11.4 sek.

Ciekawe byłoby spotkanie Głowackiego z dawnym mistrzem Polski na tym dystansie Zasłoną, który znajduje się w N-tej dywizji.

* * *

Staraniem Referatu W. F. O. S. Sap. urządzone zostały w dniu 30 i 31 V. br. zawody sportowe Garnizonu W., które obejmowały lekkoatletykę, piłkę siatkową i piłkę nożną.

W biegu na 100 m. zwyciężył pchor. Głowacki, osiągając czas 11.4 sek. Drugie miejsce zajął sap. z cenz. Katarzyński, w czasie 11.5 sek.

W skoku w dal pierwsze miejsce zajął sap. z cenz. Katarzyński, osiągając wynik 5.28 m.

W rzucie dyskiem zwyciężył sierż. z cenz. Malinowski, osiągając wynik 29.79 m.

W pchnięciu kulą pierwsze miejsce zdobył pchor. Gajdur, wynikiem 11.56 m. Drugie sierż. z cenz. Malinowski, wynikiem 11.14 m.

W biegu 2.000 m. na przełaj zwyciężył indywidualnie st. sap. Goldstejn, osiągając czas 7 min. 27 sek.

W rozgrywkach piłki siatkowej w konkurencji szóstkowej męskiej pierwsze miejsce zajęła drużyna saperów, bijąc w finale drużynę Pułku Z.

Po pierwszej i nadzwyczaj interesującej grze zwyciężyła zastruszenie drużyna O.-S. Sap. 2:1 (7:15, 17:15, 18:16) Punkty były zdobywane po zaciętej, trwającej często kilka minut grze.

W drużynie O. S. Sap. najlepiej byli: st. sap. z cenz. Tarazewicz i sierż. z cenz. Malinowski. Mistrzostwo, w piłce nożnej zdobyła drużyna P. wchodząc do finału walkowerem. Match finałowy z kombinowaną drużyną Garnizonu wygrali P. 2:1.

W drugim dniu zawodów zostało rozegrane towarzyskie spotkanie pomiędzy kombinowaną drużyną składającą się z graczy mistrza i wice-mistrza, a drużyną Saperów.

Spotkanie to zakończyło się bezapelacyjnym zwycięstwem Saperów 3:0. Drużyna ta, była zespołem o klasę lepszym.

Bramkarzowi st. sap. Barczyńskiemu należy się specjalne uznanie:

podyktowany rzut karny na jego bramkę obronił z zupełnym spokojem.

W drużynie O.S. Sap. wyróżnili się: lewy obrońca plut. Tabaczyński, środkowy pomocnik st. sap. Kaczmarczyk, świetny napastnik sap. z cenz. Niebieszczański i prawy łącznik kpr. z cenz. Bienia.

Jeśliby do ambicji i umiejętności technicznej drużyny O. S. Sap. dodać potrzebny sprzęt (buty piłkarskie)

możnaby otrzymać lepsze wyniki. W pokonanej drużynie wyróżnili się: środek ataku, środek pomocy, lewy obrońca i bramkarz.

Bramki zdobyli: Niebieszczański z rzutu karnego, Bienia dwie, jedną po długim solowym wypadzie, a drugą z rzutu wolnego, który strzelał Niebieszczański.

Sędziował bardzo dobrze pchor. Kowalewski.

PODCHORAŻACY NIGDY NIE TRACĄ FANTAZJI

„Choć biedy duże i choć pusty mam trzós,
Nie wątpię, że wnet odmieni się los”...

Tak śpiewali przez okres 8 tygodni uczestnicy kursu unitarnego na terenie jednej z dywizji, przebiegając codziennie po kilka godzin, przez malowniczo położone, góryste tereny. Ćwiczeniom ich towarzyszyły początkowo błota, pozostałość roztopów śnieżnych, ale później zaczęło przypiekać coraz mocniej słońce, które opaliło ich na brąz.

Zaciskano zęby i pracowano z samozaparciem, bo wszyscy zdawali sobie sprawę z ważności takiego kursu dla przyszłych zadań żołnierza. Zebrali się tu przedstawiciele rozmaitych gałęzi broni, różnych stopni, niektórzy przyszli rekrutami. Na kursie przyswojono sobie podstawowe wiadomości z dziedziny strategii, taktyki i dowodzenia, pracowano nad formą fizyczną i postawą żołnierską, trącono o najważniejsze wiadomości regulaminowe, łączność i terenoznawstwo.

Pracy, która odbywała się w bardzo trudnych warunkach, towarzyszył zapal. Zapalem, jak stwierdziło kierownictwo szkoły, szedł nie tylko kurs unitarny. Przeszło wiele innych, które bądź zakończyły, bądź znajdują się w stadium zakończenia, a stanowią wspaniały dowód planowej, systematycznej i zakrojonej na wielką miarę pracy szkoleniowej, jaka odbywa się od samego początku na terenie dywizji.

W pamięci uczestników kursu unitarnego pozostały również komiczne momenty przeżywane w drugi dzień Świąt Wielkanocy. Był to prawdziwy śmigus. W nocy zerwała się straszna ulewa, a ponieważ namioty znajdowały się w dole, nim zdołano się zorientować, cały kurs unitarny obudził się w wodzie.

Ale i tutaj nie stracono ani na chwilę humoru. W bieliźnie, jak kto był, zaczęto ratować inwentarz i przenosić się do sąsiednich budynków.

Później okazało się, że uratowano wszystko i żadna z rzeczy nie zginęła. Namioty poprawiono i po kilku dniach życie obozowe wróciło do dawnej formy.

Dziś uczestnicy kursu unitarnego rozjechali się już, ze świadectwami z jego ukończenia, w różne strony.

Dalsza praca pójdzie pod tym samym hasłem „Ku chwale Ojczyzny”, jak to zawołano na pożegnalnej odprawie.

R. M.



W koszty broń. Chwile wypoczynku.

N A S I K O L E D Z Y Z T O

DRODZY KOLEDZY ŻOŁNIERZE ARMII POLSKIEJ

w Z. S. R. R.

Korzystając z okazji wyjazdu do Was, Drodzy Koledzy — ks. biskupa Gawliny, przesyłam Wam trochę materiałów prasowych, opracowanych przeze mnie i moich kolegów — dziennikarzy, znajdujących się w szeregach Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie.

Słyszeliśmy z ust Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego na Wieczerzy Wigilijnej w Kairze o Waszym niezłomnym duchu i oddaniu dla sprawy Polskiej.

Dumni z Was jesteśmy! Cześć Wam!

Obyśmy się jaknajszybciej mogli połączyć we wspólnym zwycięskim marszu do Wolnej — Drogiej nam wszystkim — Ziemi Ojczystej.

Z serdecznym żołnierskim pozdrowieniem

Wacław Sikorski

korespondent wojenny

Kair, 13. III. 1942 r.

JAK TO „FANTAZIJA POLACCA”

Wszystkich nas bardzo interesuje przebieg walk pod Ghazalą, gdzie oddziały Brygady Karpackiej odniosły wspaniały sukces, wstawiając imię żołnierza polskiego.

Spotykam jednego z uczestników tej bitwy mjr. K. — dowódcę I Batalionu, który to Baon przeprowadzał słynne natarcie wraz z III Baonem na silnie umocnione i doskonale bronione pozycje wroga.

Gratuluję serdecznie Majorowi i proszę go o wszelkie, nadające się (przy uwzględnieniu tajemnicy wojkowej) do opublikowania, szczegóły tego pięknego wyczynu żołnierza polskiego.

— Bardzo chętnie — odpowiada p. Major i zaczyna tymi słowy swe barwne opowiadanie:

— Dnia 15 grudnia 1941 r. o godz. 11-ej rano podjechałem do Dowódcy Brygady, gen. Kopańskiego, który w otoczeniu Dowódcy artylerii i Dowódcy III Baonu wydaje mi z samochodu rozkaz natarcia na wzgórze 183. Nacierać mamy dwoma batalionami. W prawo — sąsiadem naszym — Nowozelandczycy. Odległość od podstawy wyjściowej do przedmiotu natarcia około 6 km.

— Teren przedstawia zupełną płaszczyznę usłaną tylko kępkami trawy. System obrony nieprzyjaciela idealny, zapora płaska wspaniała. Stanowiska wroga silnie umocnione, wykute w skałę, połączone rowami, naszpikowane formalnie wszelaką bronią: artylerią, moździerzami i bronią maszynową różnego rodzaju.

Trzeba dodać — mówi po namyśle Major — że z punktu widzenia wojkowego natarcie na te pozycje zdawało się być niemożliwe do przeprowadzenia. Sytuacja jednak wymagała, że oddziały Brygady musiały nacierać i to tak nagle, że całość własnej artylerii nie zdążyła nas wesprzeć ogniem i nie było nawet czasu na rozpoznanie terenu przy pomocy patroli.

Dowódca Brygady wybrał I i III Batalion, będąc pewnym, że spełnią one bez reszty swój obowiązek.

I nie zawiodł się...

PIEKIELNA KANONADA

— Natarcie rozpocząć mamy o godz. 15.30, by w ten sposób dać możność nadejścia choć części naszej artylerii i zajęcia stanowisk dla wsparcia ogólnego.

— Miejsce postoju batalionu znajdowało się w odległości paru kilometrów od wyznaczonej podstawy wyjściowej.

— Wydać odpowiednie zarządzenia i ruszać z batalionem. O godz. 15-ej baon podciąga pod podstawę wyjściową i w tym momencie otrzymuje ogień artylerii nieprzyjacielskiej.

— Punktualnie o godz. 15.30 rozpoczynamy nacierać przy równoczesnym wsparciu ogniowym własnej artylerii, która częściowo zdążyła na czas zająć stanowiska.

— Od strony wroga — który ma nas jak na dłoni, rozpoczyna się gwałtowna, piekielna wprost kanonada.

Patrzę na mych chłopców i oczom nie wierzę: nie korzystają z kępek trawy, nie padają; jak lawina prą naprzód, nie pominą na morderczy ogień wroga, nacierają z furją i z taką szybkością, że artyleria nieprzy-

jacielska nie zdąża wprost zmieniać celowników, a pociski padają w próżnię...

ZUPEŁNIE JAK W FILMIE

— Wie pan — zapala się Major — nawet w najlepszym filmie nie można było tego lepiej wyreżyserować...

— Po trzech kilometrach biegnące naprzód dwie czołowe kompanie — napotykają na świetnie zamaskowane pozycje nieprzyjacielskie. Nie peszy ich jednak ogień wroga i pierwszym impetem roznoszą wprost napotkane oddziały nieprzyjaciela.

— Nowa przeszkoda! Oto poza pasem działania I batalionu, na wschód jakieś 1200 m., napotykamy na bardzo silny punkt oporu, który flankowo zagraża moim oddziałom.

— Ogień idzie z prawego skrzydła. Widząc tę sytuację, wprowadzam do akcji odwodową kompanię. Dochodząc na odległość mniej więcej 300 m. do stanowisk nieprzyjacielskich, dostaje się ta kompania w ogień zaporę płaskiej broni maszynowej npla. Sytuacja staje się trudna. Znajdując się z poczetem dowodzenia swego baonu na punkcie 171, oceniam położenie i chcąc nie dopuścić do dużych strat przy zdobywaniu pozycji wroga — decyduję się na ryzykowny krok.

— Wzywam do siebie dowódcę plutonu „carrierów”. Cztery maszyny podjeżdżają natychmiast, dowódcę plutonu ppor. B. wydaje krótki ustny rozkaz:

— Wyjechać na prawe skrzydło batalionu, wjechać w głąb ugrupowania nieprzyjacielskiego, zlikwidować dwie baterie, będące z tyłu za pozycją npla i od tyłu zaatakować przedmioty natarcia I kompanii.

— Ppor. B., otrzymawszy rozkaz, podskakuje na swym carrierze, wrzeszczy wniebogłosy trzykrotnie „hip, hip, hurra”, macha chorągiewką i wprost jak szatan, w tempie około 80 km. na godzinę, rusza ze swymi carrierami wprost na wroga.

— Patrzę wślad za nim. Znika mi w kurzu z oczu. Działa nieprzyjacielskie grzmia.

— Nie upływa 15 minut, gdy ogień artylerii milknie nagle. Wyteżam wzrok i widzę... kolumny jeńców, prowadzone przy carrierach. Spisali się dzielnie chłopcy, mówi z radością major, likwidując dwie baterie dział 75 mm.

NATARCIE I. KOMPANII

— W tym momencie I kompania, korzystając z zamieszania w szeregach nieprzyjacielskich, rzuca się naprzód, zdobywając nieobjęty planem natarcia bardzo silny punkt oporu obrony włoskiej, roznosząc 3 kompanię 27 pp. dywizji Pavia, zabierając całą broń i wiele materiału wojennego.

— Prawe skrzydło zdobyte, zabezpieczone, łączność z Nowozelandczykami nawiązana.

— W krótkim czasie potem otrzymuję rozkaz od Dowódcy Brygady, przysłać z pomocą III batalionowi w ten sposób, aby wychodząc na wzgórze Carmuzo — starać się obejść nieprzyjaciela zachodząc mu od tyłu na wzgórze 183. Trzeba dodać — ciągnie dalej mój rozmówca, że III baon

Obrazki Tobruckie

NATARCIE NIEMCÓW

Dzień 20 listopada 1941 rozpoczął ostatni okres obrony Tobruku: przygotowanie do odsieczy. Nie przyszła ona wszakże tak prędko i łatwo. Co noc widać daleko dokoła, płonące od brytyjskich nalotów, punkty oporu nieprzyjaciela. W odwet nieprzyjacieli mści się niekończącymi się raidami na Tobruk. Przybывая posiłki niemieckie z Krety. „Tomahawki” zestrzelują jednego dnia nad twierdzą 5 maszyn niemieckich. Patrole polskie noc w noc wnikały w pozycje nieprzyjaciela, stającą walki. Przeciwnik organizuje przeciwakcję. Około północy z 20 na 21 listopada pluton włosko-niemiecki po nawale ogniowej podchodzi pod jeden z fortów polskich. Dla dodania sobie odwagi już z kilkuset metrów krzyczą „hurra!”, ale polska czujka już dawno wycofała się, sygnalizując wroga. W jednej chwili na niefortunny patrol strzela 15 karabinów maszynowych i moździerz. Jęki miesają się z przekleśkami. O, nie tak łatwo z Polakami!

Przez cztery następne dni jest przedziwna cisza na liniach nieprzyjaciela. Nasze patrole zuchwale podchodzą na odległość 200-300 metrów przed druty wroga i stwierdzają jego obecność, mimo powściągliwości ogniowej.

Aż nagle, 25 listopada rano, rozpoczyna się piekło. Na odcinek jednej kompanii, szczególnie na jeden fort, wala bez przerwy cztery godziny pociski dział kalibrów: 65, 75, 105, 149 i 205 mm. szrapnele, moździerz 81 mm., wszystkie typy Breda i kilkadziesiąt cekaemów. Kamienie i żelazo zasłaniają słońce; skały i ziemia przewracają się, powietrze jest pełne dymu i siarki. Do strzelnicy wpada niewypały artyleryjski i rani śmiertelnie pechor. R. Kilku jest lekko rannych od kamieni.

Z horyzontu posuwają się cztery kolumny nieprzyjacielskiej piechoty,

w sile, narazie, batalionu. Z tyłu widać już gromadzące się na wszelki wypadek nowe oddziały. Idą uszeregowani w głąb, w ciasnej tyralierze, niemal całymi drużynami, prawie nie padając na ziemię. Sposób posuwania się niemiecki. Trzeba przyznać, że denerwujący. Wykorzystują porzuczone „sangary” (schrony kamienne) i linie horyzontu. Dwie kompanie idą za szkarpą, jedna po linii starych „sangarów”, jedna za wzgórzami „White Knollu”.

Teraz rozpoczyna się piekło polskiej artylerii. Obserwator kpt. B. z cudownym spokojem i znajomością sztuki podaje azymuty, przeniesienia, poprawki, jakby strzelał do martwych celów. Nawata nieprzyjaciela rwie łączność w bardzo ważnym momencie. Patrol artyleryjski pod ogniem naprawia kabel. Nasze pociski padają w największe skupienie wroga. Teraz zaczynają kłękać. „Po trzy, te same dane!” — już leżą na ziemi. „Bateria od prawego — po trzy!”. Nieprzyjaciel, który doszedł na kilometr przed naszą linię, bo artyleria była przygotowana na inne strzelanie, teraz rozproszony zupełnie, rozpoczyna odwrot. Nasze cekaemy biorą go na cel. Z kupek kamieni wychodzą pojedynczo staniające się postacie. Niektóre padają, nie podnosząc się więcej. Tak do południa wloką się spowrotem ku swym pozycjom.

Obecnie nieprzyjacieli rozpoczyna wściekły odwet ogniowy. Wreszcie cichnie wszystko. Na pozycje kompanii, która odparła natarcie, przychodzą wyżsi dowódcy, dziwią się potężnym kalibrom nieprzyjacielskiej artylerii i gratulują sukcesu.

Jeszcze jest jasno, a nasz patrol wychodzi zbadać przedpole. Jest ono złane krwią i pokryte porzuconym sprzętem. W leju artyleryjskim leży nieodnaleziony trup: młody Niemiec.

Polacy dosięgną was nawet na krańcach świata!

B R U K U P I S Z A N A M...

ROZNIOSŁA NIEMCÓW I WŁOCHÓW POD GHAZALĄ

znalazł się w trudnej sytuacji, ostrzeliwany bardzo silnie przez artylerię nieprzyjacielską.

— Przystępuję natychmiast do wykonania zadania. Dwie kompanie mego baonu są akurat w trakcie zdobywania Carmuzo. Rzucam więc do natarcia ostatnią kompanię odwodową i wydaję rozkaz energicznego natarcia, zwłaszcza, że dwie pozostałe kompanie mają straty.

— Podciągam tę kompanię na prawe skrzydło i stąd, w łączności z dwiema pozostałymi, uderzam wzdłuż Carmuzo na wzgórze 183, wychodząc na flanki i tyły nieprzyjaciela.

— Oddziały zdobywają szybko to wzgórze, oczyszczają teren i wychodzą na drogę.

WŁOSI I NIEMCY UCIEKAJĄ

— Jak okiem sięgnąć widać tam już całe kolumny uciekających w popłochu Niemców i Włochów — na przelaj w kierunku na Dorne.

— Oddziały nasze są już poważnie przemęczone, niezdołne pieszo ścigać pierzchającego wroga. Ustawiają więc broń na stanowiska i ogniem pościgowym prażą uciekających. Akcja kończy się zdobyciem cennego materiału wojennego i wzięciem licznych jeńców.

— W dalszych wywodach Major opowiada, jak to, gdy było już ciemno — jedna z kompanij w czasie owej panicznej ucieczki nieprzyjaciela, sądząc, że baon własny naciera dalej — poszła naprzód, złączyła się z kolumną niemiecką i włoską, a żołnierze nasi pomieszani z nieprzyjacielskimi — niepoznani przez wroga — nie zdradzając swego incognito — pędzili tak kilka kilometrów, aż w pewnym momencie otworzyli ogień z Thompsonów, krzycząc po włosku, „ręce do góry”. Zrobiła się kotłownina i nieopisana panika. Żołnierze nieprzyjacielscy zaskoczeni, przerażeni — rozpierzchli się w ciemności, bądź zostawali na miejscu jak wryci podnosząc ręce do góry.

— Skutek był taki, że kompania ta pod dowództwem dzielnego zastępcy dowódcy kompanii ppor. S. (dowódca poległ w czasie akcji baonu) wzięła do niewoli jeńców i przyprowadziła ich do stanowisk batalionu o godzinie 1-ej w nocy.

— Włosi, pod naciskiem Niemców, wprowadzają teraz do akcji swe ostatnie odwody i prowizorycznie łatają dziury.

— Po zorganizowaniu się w sytuacji, Dowódca Brygady zarządza dnia następnego o godzinie 11-tej natarcie III Batalionu w kierunku lewego skrzydła I batalionu i przy wsparciu ogniowym moich kompanij.

PRZERWANIE LINIJ NPLA

— Akcja ta kończy się pełnym powodzeniem. Pięknego wyczynu dokonuje pluton „carrierów” trzeciego batalionu likwidując całe lewe skrzydło wroga i biorąc paruset jeńców.

— Działanie Brygady kończy się całkowitym przerwaniem linii nieprzyjacielskich i jak się okazało miało charakter operacyjny — przełamało front wroga.

— Włosi i Niemcy rozpoczynają paniczny odwrót. Grupa pościgowa

z odwodowego baonu, przychwyciła wroga na gorąco, biorąc do niewoli ponad tysiąc jeńców. Odbito przy tym z niewoli szereg żołnierzy nowozelandzkich i hinduskich, którzy — zabrawszy broń nieprzyjacielowi — walczyli ramię przy ramieniu z polskim żołnierzem.

— Nieprzyjaciel zostawił na polu walki cały swój sprzęt, całą artylerię ciężką, lekką, przeciwpancerną, przeciwlotniczą, wiele broni maszynowej. Olbrzymie magazyny i duże zapasy żywności.

— Proszę majora o scharakteryzowanie w krótkich słowach samej walki i opisanie zachowania się naszych żołnierzy.

NASZ PIERWSZY JENIEC

Jest normalny spoczynek wieczorny. Dokoła cisza. Gdzieś tylko nad morzem lekka pukania karabinowa. Nagle na horyzoncie pojawiają się wszędzie światła, powtarzają się, jeszcze, jeszcze. Teraz także połężne błyski. Oczywiście zaraz usłyszymy skutki. I już trzęsie się ziemia, dudnią forty. W nocy zawsze widać błyski na dobrą chwilę przed wybuchami. Nawała artyleryjska, poparta innymi bronią. Pada około 150 pocisków artyleryjskich. Nie licząc moździerzy. Natychmiast idą w ruch telefon, meldunki, pogotowie. Nieprzyjacieli coś gotuje.

Teraz ogień pada na miejsce czujki. Jest tak gorąco, że czujka cofa się. Ale ambicją zwycięży. Wracają.

Wyteją wzrok i słuch. Widać wyraźnie zbliżających się ludzi. Liczą: dobry pluton. Co tu robić: cofać się?, strzelać?, czekać? Dręczącą nie pewność przerywa nieprzyjacieli. Od plutonu odrywa się jeden człowiek. Biegnie nic nie widząc wprost na czujkę. „Stój!” Pada jak długi na ziemię. Krzyczy: „Italiano, Italiano! Sprechen sie deutsch?” Ach tak, myślał, że trafił na Niemców. Nasi w sekundzie siedzą mu na karku.

Ogłupiały pluton nieprzyjacielski, zamiast odbić swojego, ucieka tak szybko, że wysłany patrol pościgowy spotyka się tylko z artyleryjskim ogniem zaporowym npla, wywołanym rakietą uciekających.

Tymczasem na pozycje wprowadzają jeńca. Przerażony biedaczysko, szczupły, nędznie ubrany Włoch. Po zrewidowaniu go, dziękuje po angielsku. „My, jesteśmy Polacy” — ktoś mówi po włosku. „Polacchi!” — krzyczy, jakby odnalazł starych znajomych. Okazuje się, że to dowódca patrolu, sierżant podchorąży. Był w Albanii, teraz jest ochotnikiem w Libii. Zznaje, że wysłano go, by stwierdził, kto jest na odcinku — Australczycy czy Polacy, bo od pewnego czasu odcinek wykazuje niepokojącą zaczepność i ruchliwość. Dostarcza poza tym cennych wiadomości o szykującym się uderzeniu npla na Tobruk, które potem ubiegła brytyjska inicjatywa.

Jeniec jakoś się rozwesela między Polakami, ale gdy go transportują do angielskiego obozu jeńców, płacze.

Był to jeden z pierwszych jeńców, wziętych przez Polaków.

— Byłem w wielu bitwach, odpowiada major, walczyłem w Legionach, w czasie wojny światowej byłem świadkiem wspaniałych natarć Bawarczyków, brałem udział w walkach podczas kampanii wrześniowej — ale podobnego, trudnego do opisanie natarcia jeszcze nie ogądałem i wątpię, czy kiedy zobaczę. Kompanie szły jak huragan i nie było wprost siły, która mogłaby je zatrzymać.

WŁOCH O POLAKACH

— Chyba najlepszą pochwałą dla naszego żołnierza może być następująca opinia wroga o tym natarciu. Oto dowódca VII pułku Bessaglieri, wzięty przez Polaków do niewoli — nazwał to nasze natarcie „fantazja”, podkreślił, że tylko szaleńcy tak iść mogli. Zaznaczył, że widok był wspaniały; gdy przypatrywał się początkowej fazie natarcia Polaków był pewny, że załame się ono wobec piekielnego ognia włoskiego. Jakież było jego przerażenie, gdyż z obto-

ków dymu wyłonili się nagle żołnierze polscy i... poczęli brać do niewoli Włochów i Niemców.

— Tak mogli tylko nacierać Polacy — oświadczył ów włoski pułkownik.

— Pyta się pan o ducha naszych żołnierzy.

— Nadzwyczajny! Dam taki oto przykład. Szereg rannych żołnierzy po dokonaniu opatrunku nie zgodziło się na ewakuowanie ich do tyłu, samorzutnie dołączyli do swych oddziałów, aby móc nacierać dalej.

— Dumni jestem — kończy swe opowiadanie mjr. K. — że danym mi było dowodzić batalionem w tej bitwie. Na żołnierza naszego można liczyć w każdej okoliczności. Nigdy nie zawiedzie. To wspaniali chłopcy, pełni inicjatywy, ofiarni i odważni.

Na pożegnanie major dodaje z mocą:

„Panie poruczniku! Wierzę, że Naród, mający takich Synów — odniesie napewno Zwycięstwo!”

Wacław Sikorski

TOBRUK

Teraz wiatr wieje
I skrzą się złotym puchem horyzonty.
Ktoś się śmieje.
Głodny szczerz zaszył się w rowu kąty.
Gdzieś w oddali dudnią gromy —
Cicho! — nasz punkt ma zostać niewidomy!

Godziny płyną leniwie od słońca,
A oczy błazn sennie po pustyni,
Przemierzając odcinek do samego końca;
Zaduma z nudą sypią piasek z dłoni.

Aż — gwizd,
Nie — błysk!
Skąd?
— Wybuch...
Grzmia działa,
Moździerz biją z linii horyzontu,
Dymi się linia cała,
Wala stopytarki.
Sygnał: nawała ognia na S 13,
Działa wstrzeliwują się w rejon kawalerii.
— Zdwoić czujność — ckm krótkie serie,
Patrol pójdzie pod kątem 315.
Znowu: tam głuchy huk i tu,
Czasami brak mu tchu,
Spadnie nie gwizdząc wcale
I ryje ziemię w brunatno-czarnym szale.
Po burzy siecze drobny deszcz ckm-ów płacząc —
Tu huczy niemiecki Medaur siódmy miesiąc!

Niosą się na wysokim pułapie bombowce
I jak ciężkie baki nocne brzęczą w górze;
— Szybsze tempo! — niech będzie co chce!
Działa portowe kąpią się w purpurze.
I znowu po raz dwutysięczny któryś
Dymią się grzyzy miasta,
Ciekną powoli tży rakiet z góry,
Tysiące światła na niebie wyrasta,
Płynie kolorowa rzeka pocisków
Za jękiem zbiega, który bomby cisną.

Potem gdzieś jęknął samochód,
Potem zasumiał kompresor,
Zagdał spóźniony karabin
I zapadł cichy wieczór,
Przerywany błyskami rakiet.

Żołnierz na czujce zmówił pacierz.

Jan Bielatowicz

BĘDZIEMY O TYM ZAWSZE PAMIĘTALI...

JAK NIEMCY NISZCZYLI ZAMEK WARSZAWSKI

Zamek Królewski jest dla każdego Polaka jednym z najdroższych zabytków przeszłości. W średniowieczu stanowił siedzibę książąt Mazowieckich, od XVI w. stałą siedzibę rezydencyjną królów, od XVII w. siedzibę najwyższej władzy ustawodawczej w Rzeczypospolitej — sejmów.

ŚWIADOMA AKCJA

Zamek Królewski w Warszawie był więc symbolem władzy państwowej, a mury jego były świadkami najważniejszych aktów o znaczeniu historycznym. Zniszczenia wojenne Zamku w czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. nie były dziełem przypadku, lecz świadomej akcji wroga. Obrzucono Zamek z aeroplanów bombami zapalającymi, wzniciąc wielkie pożary, i ostrzeliwano pociskami artyleryjskimi. Od pocisku artyleryjskiego zginął na Zamku kustosz dyrekcji Państwowej Zbiorów Sztuki, Kazimierz Brokl, gdy ratował zagrożone dzieła sztuki, wynosząc je z płonących skrzydeł gmachu.

Zniszczenia wojenne, jakkolwiek bardzo bolesne, w zabytkowym stanie Zamku przyniosły szkody dość ograniczone. W trzech czwartych spłonęły dachy, co było szkodą do wyrównania, spłonęły też częściowo helmy wieży Zygmuntońskiej i Władysławskiej, co jest już istotną stratą zabytkową, zachowały się jednak ich górne fragmenty, najbardziej ozdobne, i ułatwiające rekonstrukcję. Poza tym uszkodzone zostały tynki i niektóre z rzeźb na tympanonach, oraz uległy zniszczeniu wszystkie szyby. Najistotniejszą stratę poniosła Wielka Sala Balowa, gdzie wskutek pożaru zawalił się sufit i wskutek tego uległ doszczętnemu zniszczeniu wielki plafon Bacciarellego. Ponadto w sali też uległy częściowemu zniszczeniu lub uszkodzeniu niektóre kolumny z barwnego sliuku, fasety pułapu i lustra. W całości jednak rekonstrukcja sali, poza plafonem, była możliwa. W swej zabytkowej całości Zamek został niemal nienaruszony i grono specjalistów, konserwatorów i architektów w chwili kapitulacji Warszawy określało termin doprowadzenia Zamku do stanu używalności — poza tylko wielką salą balową — na okres zaledwie kilku tygodni.

PROBĄ RATUNKU

Niezależnie wobec tego, przy pomocy Zarządu Miejskiego, rozpoczęto prowizoryczne prace zabezpieczające i już w pierwszych dniach października 1939 r. były w pełnym toku przygotowania do budowy prowizorycznego dachu, najpierw nad skrzydłem między wieżą Władysławską i t. zw. Kaplicą Saską dla uchronienia od zalewu sal zabytkowych tu się mieszczących. Nad pozostałymi skrzydłami, mieszczącymi sale reprezentacyjne, mianowicie od Bramy Grodzkiej do Wieży Grodzkiej i od tej do Wieży Władysławskiej, dachy były w całości zachowane, a nad skrzydłami od Bramy Grodzkiej do Wieży Zygmuntońskiej zostały wprawdzie częściowo uszkodzone wskutek pożarów, jednak dzięki żelbetonowemu wiązaniu i pokryciu miedzią dostatecznie jeszcze chroniły wnętrza.

Prace konserwacyjne, do których bezinteresowny akces zgłosili polscy konserwatorzy, architekci i historycy sztuki, — trwały do 18. X. 1939 r.

W tym krótkim przeciągu czasu ułożono część prowizorycznego dachu i poczyniono przygotowania do osklepiania sal zabytkowych dla uchronienia wnętrz reprezentacyjnych przed zimą od działania wilgoci i mrozów.

Bezpośrednio po wkroczeniu wojsk niemieckich, Zamek i Pałac pod Blachą objęła żandarmeria polowa (Feldgendarmarie Potsdam), która jednak nie stawiała przeszkód planom budowlano-konserwatorskim. Zainteresowanie władz niemieckich zwróciło się początkowo ku urządzeniu zamkowym, zwłaszcza o charakterze użytkowym. Rozpoczęło natychmiast wywożenie serwisów i urządzeń gospodarczych, rzekomo na Wawel, dla generała gubernatora Franka, do pałacu Bruhlowskiego, dla gubernatora Fischera i do Spały. Równocześnie już wtedy zaczęło wywozić i zabytkowe meble oraz przedmioty przemysłu artystycznego.

ZAPADA ZBRODNICZA DECYZJA

Dnia 18 października przybył na Zamek gen. gubernator Frank ze swą i na miejscu wydawał ogólne dyspozycje co do przeznaczenia urządzeń i zbiorów. W Sali Tronowej z zaplecza baldachim tronu kazał zabrać dla siebie kilka srebrnych haftowanych orłów. Od tego dnia rozpoczęło się systematyczne rozgrabianie zbiorów zamkowych i urządzeń. Równocześnie władze niemieckie wydały zarządzenie niezwłocznego wstrzymania prac konserwatorsko-budowlanych. Prawdopodobnie zapadła już decyzja zburzenia Zamku, o której dowiedzieliśmy się dwa tygodnie później.

Dnia 8.XI. 1939 r. po wstępnych przygotowaniach w dniach poprzednich, jak n. p. zakładanie na dziedzińcu przewodów elektrycznych, oddziały pionierów wojskowych rozpoczęły wiercenie otworów dla założenia ładunków dynamitowych, przy których pomocy mury Zamku miały być wysadzone w powietrze.

BARBARZYŃCY PRZY PRACY

Otwory wiercono w murach parteru, w dwóch rzędach w odległości około 40 do 50 cm. jeden od drugiego. Każdy otwór miał półtora do dwóch metrów głębokości. W ten sposób do połowy stycznia 1940 r. wywiercone zostały otwory wokół całego dziedzińca głównego w ścianach wewnętrznych i wewnątrz sal parterowych a także we wszystkich filarach, podtrzymujących sklepienie. W końcu stycznia i w lutym, podobnie postąpiono z murami drugiego dziedzińca i Wieży Grodzkiej. Pozostać miało tylko skrzydło biblioteczne, stanowiące aneks Zamku, gdyż zamyka ono dziedzińiec Pałacu pod Blachą. Termin wysadzenia Zamku w powietrze początkowo określano na koniec grudnia, później na połowę stycznia, na koniec stycznia, wreszcie odłożono go do ustąpienia mrozów.

W początku stycznia zwieziono na Zamek ładunki dynamitowe i dokonano prób załadowania ich w przygotowane otwory. — Równocześnie rozpoczęto w początku listopada demolowanie wnętrz zamkowych. Rozbiórki podjęła się firma budowlana Rudolf, której do pomocy przysyłano codziennie po kilkuset robotników. Rozbiórki tej w pośpiechu dokony-

wano w sposób niesłychanie barbarzyński niszcząc dzieła sztuki traktowane tylko jako materiał i złom.

SZAŁ NISZCZENIA

Wyrwano wszystkie kominki marmurowe, marmurowe okładziny ścian i stopnie schodów, wyłamywano marmurowe rzeźby i fragmenty architektoniczne, zabytkowe posadzki, wyrwano kilofami i również kilofami zdzierano wspaniałe boazerie stansławowskie z sali Canaletta, dawnej sali audiencyjnej, Kaplicy, Sali Ryckerskiej, z Sympalnu Królewskiej i Sali Tronowej.

Tłumy spędzonych robotników znosiły szczytami na dziedzińcu i zrzucały na stopy, które po kilku dniach na deszczach i mrozach niszczały dalej, aż znowu wrzucano je beładnie, łamiąc i niszcząc na auta ciężarowe. Boazerie te uważać trzeba za stracone na zawsze, zdarło także obicia, zabrano drzwi, powyłamywano futryny okienne, pozrywano ślepe podłogi i kaloryfery, zgola wszystko, co posiadało jakąkolwiek wartość materialną. Pozostały nagie ściany ceglane. Wówczas rozpoczęło w grudniu wycinanie i wyłamywanie belek między kondygnacjami, zarówno starych belek modrzewiowych, jak i belek żelaznych, pozakładanych przy nowszych pracach konserwatorskich. Belki te przez okna wyrzucano na dziedzińce.

W drugiej połowie grudnia, wycinając belki ze stropu Dawnej Sali Audiencyjnej, zrzucono wraz z belkami na ziemię malowany na tynku wspaniały plafon Bacciarellego, najpiękniejsze jego dzieło, przedstawiające rozkwit Nauki i Sztuki: plafon, który z niebezpieczeństw wojennych wyszedł nietknięty, uległ zupełnemu sproszkowaniu. Z dachów zdjęto blachę miedzianą, zrzucono też drewniany dach prowizoryczny, ułożony w październiku dla celów konserwatorskich, pod koniec lutego 1940 r. z Zamku pozostała ruina nagich murów. W ciągu jednak marca trwała dalsze dewastowanie, gdyż wybierano nawet materiały o minimalnej wartości materialnej.

W końcu marca rozeszły się wiadomości, że decyzja zburzenia Zamku została cofnięta, czy też zawieszona. Istotnie w początku kwietnia oddziały pionierów wojskowych zwinęły swe placówki, a przygotowane materiały wybuchowe wywieziono z Zamku na kilka samochodach ciężarowych. Wywożenie materiałów budowlanych trwało jednak i nadal, choć teraz już w znacznie mniejszym zakresie. — Zbiory artystyczne Zamku Warszawskiego rozgrabione zostały w ciągu października i listopada 1939 r.

TEGO IM NIGDY NIE ZAPOMNIMY

W początku drugiego roku okupacji ruiny murów zamkowych stoją оголоcone i pozbawione opieki, gdyż podlegają władzy „Bauamtu”, który żadnych dalszych dyspozycji nie wydaje. Na wiosnę, w ostatniej chwili, zaniechano ostatecznego zburzenia zdewastowanych murów zamkowych, dalszych swych zamierzeń okupant jednak nie ujawnił. Prawdopodobnie, jak to się dzieje i w innych dziedzinach, okupant porzucił swą pierwotną i pierwszą koncepcję i sprawa uległa zapomnieniu. Z projektów urbanistycznych przekształcania miasta, „pracow-

wanych w zimie i na wiosnę 1940 r., wiadomo, że puste miejsce po zburzonym Zamku miało pozostać niezabudowane.

Motyw burzenia Zamku były niewątpliwie oświetlone przez czynniki niemieckie, gdy ze sfer polskich interweniowano po ujawnieniu decyzji na jesieni 1939 r., przedstawiając, że stan gmachu jest zupełnie zadawalający i niema żadnych powodów natury techniczno-budowlanej, któreby usprawiedliwiały decyzję zniszczenia Zamku, a zabezpieczenia niektórych wnętrz od niszczenia wskutek uszkodzeń wojennych dokonać można minimalnym kosztem. Oświadczone, wówczas, że oczywiście nie względu budowlane lecz motywy natury politycznej stanowią podłoże tej decyzji. Zamek Królewski w Warszawie ma być zburzony, jako symbol państwowości polskiej.

Z POLSKI KRWAWIĄCEJ

W jesieni ub. roku zakatowani zostali w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu gen. Szpakowski, b. szef gabinetu Min. Spraw Wojsk., ostatnio szef Biura Wojskowego zarządu miejskiego m. st. Warszawy; były poseł Kazimierz Czapinski oraz ziemianin z lubelskiego Andrzej Żółtowski. W jesieni ub. r. panowała w Oświęcimiu ostra epidemia tyfusu plamistego. W tym samym mniej więcej czasie zmarł w obozie koncentracyjnym w Mathausen-Sachsenhausen baron Jan Barthel de Weydenthal, aresztowany swego czasu za odmowę przyznania się do narodowości niemieckiej.

„Das Reich” z 11. I. 42 r. donosi: Biblioteka Seminarium Duchownego z Płocka i biblioteka gimnazjalna z Suwałk zostały przewiezione do biblioteki państwowej i uniwersyteckiej w Królewcu.

Drogą dekretu Warszawa podzielona została na trzy części: niemiecką, polską i żydowską. Do chwili obecnej istniało jedynie ghetto żydowskie. Władze niemieckie motywują nowe rozporządzenie — obawą deprawacji obywateli niemieckich przez stykanie się z Polakami. Dla Niemców wyłącznie zarezerwowano następujące ulice: Nowy-Swiat, Aleje Jerolimskie, Aleje Niepodległości.

Pomimo terroru niemieckiego, pomimo przesładowań Gestapo, Warszawa obchodziła dzień 3-go Maja. Na grobie Nieznanego Żołnierza nieznanne ręce złożyły wieniec ze wstęgi biało-czerwonymi. Tekst deklaracji polskich patriotów w Warszawie, przesłanej za pośrednictwem tajnej krótkofalówki na ręce Wodza Naczelnego, gen. Sikorskiego, zawiera między innymi następujące słowa: „Dnia 3-go Maja słubujemy wierność Rzeczypospolitej, Prezydentowi R. P. i Naczelnemu Wodzowi. Niech żyje Wolna, Niepodległa Polska!”.

„Svenska Dagbladet” donosi: Niemiecki Trybunał Specjalny dla spraw politycznych — „Volksgerichtshof” w Berlinie skazał na śmierć Józefa Mussielaka z Leszna, oskarżonego o służbę wywiadowczą na rzecz sprzymierzonych.

TO MY TERAZ WOŁAMY

BOMBARDOWAĆ!! BOMBARDOWAĆ!!

W nocy z 30-go na 31-szy maja 1250 samolotów brytyjskich i polskich zbombardowało Kolonię. W 48 godzin później flota powietrzna sprzymierzonych, licząca 1036 maszyn, dokonała nalotu na Essen, centrum największego ośrodka przemysłowego Rzeszy — Zagłębia Ruhry. Upłynęło jeszcze kilka dni i ten sam los spotkał Emden, port, do którego kanałem Dortmund — Ems płynie większość eksportu z Zagłębia Ruhry, będący zarazem ważnym centrum przemysłu budowy okrętów.

Ani lotnictwo niemieckie, ani artyleria przeciwlotnicza nie były w stanie zapobiec skuteczności brytyjskich nalotów. Rozpadł się mit o niezwykłej odporności powietrznych zastępów Goeringa — nad niemieckim niebem zapanowały znaki brytyjskie i polskie.

A przecież jeszcze nie tak dawno, bo zaledwie dwa lata temu, Niemcy rzucili Anglii zapowiedź bezlitosnej wojny lotniczej, obiecując zrównać z ziemią miasta brytyjskie. Twórca lotnictwa niemieckiego, Goering, zapewniał, że ani jedna bomba nieprzejazdowa nie upadnie na niemieckie terytorium, a Hitler wołał w Reichstagu: „Jeżeli Anglii wysła na Niemcy sto samolotów — poleci na Anglię pięćset naszych maszyn, jeżeli uda się im posłać tysiąc — pošemy trzy tysiące”.

I zdawało się, że zapowiedź Niemców będzie zrealizowana. Jesienią 1940 roku, gdy Wielka Brytania, pomimo upadku Francji, dumnie odrzuciła oferty pokojowe Hitlera, rozpoczęła się t. zw. „Bitwa o Anglię”.

Lotnictwo brytyjskie, wielokrotnie wówczas słabsze od niemieckiego, dokonywało cudów, broniąc swego kraju. Brytyjczykom dziennie sekundowały dywizyjny polskie. Sytuacja była rzeczywiście bardzo poważna. 15 listopada 1940 roku niemiecka flota powietrzna w sile 500 samolotów dokonuje nalotu na miasto przemysłowe Coventry. Spada 500 ton bomb burzących i zapalających. Miasto leży w gruzach. Znika z powierzchni ziemi. Wyraz „kewentriren” wchodzi do niemieckiego słownika jako synonim słów: zniszczyć, zgładzić. Był to pierwszy o tak wielkich rozmiarach nalot w dziejach obecnej wojny. Ale wkrótce potem, 16-go listopada i 9-go grudnia, podobne naloty przeżywa Londyn, a 20-go listopada Birmingham. Płoną miasta brytyjskie, a pijani triumfem i pewni rychłego, ostatecznego zwycięstwa Niemcy wołają w szale jakiegoś nieduldzkiego zapamiętania: „Wir bomben... bomben... bomben...”

Dziś, po dwóch latach, sytuacja zmieniła się radykalnie. Przez ten okres czasu lotnictwo brytyjskie bezustannie wzrastało w siłę, wyrównując różnicę, jaka je dzieliła od niemieckiego. Aż wreszcie Anglii mogli sobie powiedzieć: „Jesteśmy silniejsi” i zaczęli działać. Na naloty tysięcy samolotów brytyjskich, bombardujących niemieckie centra przemysłowe — Niemcy odpowiadają wysyłając zaledwie po kilkadziesiąt maszyn, które obrzucają bombami spokojne, dostojne, patyną wieków pokryte uniwersyteckie czy katedralne miasta Wielkiej Brytanii.

A tymczasem Anglii metodycznie niszczą porty, miasta fabryczne

i kopalnie niemieckie. Zburzenie ważnych portowych miast na Bałtyku, Lubeki i Rostocka, było tylko wstępem do wielkiej ofensywy powietrznej, zapowiedzianej przez Churchilla. W gruzach leży Kolonia, na którą spadło 3.000 ton bomb różnego kalibru i gatunku, a więc pięć razy tyle — ile Niemcy zrzucili w czasie największych nalotów na Londyn i Coventry. Kolonia, — to drugie pod względem obszaru, a trzecie pod względem zaludnienia miasto Niemiec. Jedno z najważniejszych centrów niemieckiego przemysłu maszynowego i chemicznego.

Płonie Essen, serce Zagłębia Ruhry, stolica ciężkiego przemysłu niemieckiego, główne centrum produkcji wojennej. Poza słynnymi fabrykami Kruppa i szeregiem innych zakładów przemysłu metalurgicznego, ześrodkowano w Essen największe przedsiębiorstwa węglowe. Tam też mieści się reńsko — westfalska elektrownia, zasilająca energią elektryczną całe

Zagłębie Ruhry. Oprócz tego Essen, położone w centrum wyjątkowo gęstej sieci dróg żelaznych, kołowych i wodnych ruhrskiego okręgu — jest bodajże najważniejszym ośrodkiem komunikacyjnym Niemiec.

W ten sposób uderzenie lotnictwa sprzymierzonych na Essen trafiło i sparaliżowało na czas dłuższy jeden z najważniejszych dla prowadzenia wojny ośrodków Rzeszy.

Te ostatnie naloty świadczą o wielkim rozroście angielskiego lotnictwa, o doskonałości sprzętu, którym ono się posługuje, o bohaterstwie brytyjskich i polskich pilotów. Świadczą jednak zarazem o rzeczy o wiele donioślejszej: o tym, że Niemcy wojnę definitywnie przegrali. Sławna „Luftwaffe”, będąca ich najsilniejszym atutem w dotychczasowym przebiegu działań wojennych, straciła dziś panowanie w powietrzu, nie może już stawiać czoła lotnictwu sprzymierzonych. A przecież to się dopiero zaczęło.

Podczas pierwszej wojny światowej ziemie niemieckie prawie że nie ucierpiały wskutek działań wojennych. Teraz będzie inaczej. Zniszczenia, jakich dokona w Niemczech lotnictwo sprzymierzonych, sprawią, że Niemcom na kilkaset lat odechce się wojny.

Setkami tysięcy ucieka ludność niemiecka z zagrożonych okręgów, a kiedy noc zapadnie nie ma w Niemczech domu, w którymby trwóźnie nie nadsłuchiowano, czy nie słychać warkotu złowróżbnych, stalowych ptaków.

Jak kiedyś u nas w Polsce...

Jak kiedyś w Anglii...

I w tylu innych krajach...

A my, jak kiedyś w Niemczech, wołamy: „Bombardować... Bombardować...”

Zaczyna się nowy etap wojny, u kresu którego, jak wyrok straszliwy, oczekuje Niemców nieuchronna KŁĘSKA.

Zbigniew Racięski.

BO TAKI LOS WYPADŁ NAM...

PRZEDZIWNE DZIEJE PLUT. ORZECZOWSKIEGO

Każdy z nas przeżywa teraz swą wielką przygodę. Zaczęła się w 1939 roku i trwa jeszcze ciągle. Los rozrzucał nas po całym świecie. Jesteśmy wszędzie: i w Iranie, i w Syrii, Kanadzie, Wielkiej Brytanii, Nigerii i Bóg wie jeszcze gdzie.

Przeżyliśmy wiele, przeżyjemy jeszcze dużo. Nauczmy się jeszcze niejednego. A kiedy powrócimy do domu po długich latach, jak mówi sentymentalna piosenka, będziemy mieli wiele do opowiadania. Bo przecież każdy z nas jest bohaterem dziwnego i niezwykłego filmu. Wyobraź sobie z jakim zaciekawieniem słuchać będą nasi najbliżsi naszych opowiadań, w których przewijać się będą jakieś dziwne, egzotyczne, obce słowa, obce nazwy.

My już wobec nadmiaru wrażeń zwolna obojętniejemy. To wszystko co się z nami dzieje uważamy za coś zwykłego i codziennego. Oswoiiliśmy się już z widokiem drzew morelowych, arików, wielbłądów. I dopiero, gdy posłuchamy czyjś opowiadania odbiegającego od naszych przeżyć, w gruncie rzeczy bardzo do siebie podobnych, — wówczas właściwie dopiero zdajemy sobie sprawę z niezwykłości naszych losów.

Piszę te słowa pod wrażeniem fantastycznej historii, której uczestnikiem jest plutonowy Izidor Orzechowski, młody Poznaniak, który odwiedził nas kilka dni temu. Gdzie już nie był ten 18-mio letni żołnierz o jasno niebieskich, nieco zdziwionych oczach. Zanim oddam mu głos, w kilku słowach opowiem trasę ostatnich jego trzech lat.

W 1939 r. Orzechowski po upadku Warszawy przedostał się do Rumunii. Stąd jedzie do Francji. Melduje się w Coetquidan. Wstępuje do wojska. Z Brygadą Podhalańską jedzie do Norwegii. Po powrocie do Francji, na rowerze, jedzie do domu. Tak, do domu, przez pół Francji, Belgię i Niemcy. Ile sił starczy pedałuje do domu pod Poznaniem. Ścisła matkę

i po kilku dniach rusza w dalszą podróż. Na rowerze jedzie na wschód. Podróż jego kończy się w Kutach przy próbie przekroczenia granicy rumuńsko- sowieckiej.

Chwilami, słuchając jego słów, trudno uwierzyć, że to prawda. Ale wszystko z matematyczną ścisłością się zgadza. Szczegóły i szczegóły. Nazwy dowódców, miast i daty. Generał Szyszko-Bohusz poznał swego żołnierza, z którym na jednym statku płynął do Norwegii.

— Pan Generał często przychodził do nas pogwarzyć podczas podróży, mówi Orzechowski. Ja należałem do 2 kompanii i Batalionu. Dowodził nami kpt. Jastrzębski. Brałem udział w natarciu na Bestfjord. Po zdobyciu tego miasteczka otrzymałem trzeci ciąg belkę, zostałem plutonowym.

Orzechowski znajduje słowa uznania dla francuskiej Legii Cudzoziemskiej, która walczyła razem z Polakami w Norwegii, a która teraz tak zawadiacko, z taką brawurą, bije się w pustyni Libijskiej.

— Po powrocie do Francji, opowiada dalej Orzechowski, w Brest, ludzie witali nas bardzo serdecznie. Wylegli na ulicę, kiedy naszerowaliśmy, częstowali nas truskawkami i cukierkami. Było to 16 czerwca, na dwa dni przed kapitulacją. Niemcy znajdowali się już wówczas jakieś 240 km od nas. W Brest załadowano nas do pociągu i wyeksedowano do Dole. Tu całą noc stawialiśmy barykady. Przygotowywaliśmy butelki z naftą do walki z czołgami. 18 czerwca Francja się poddała. Nastroje kapitulacyjne ogarnęły całą ludność. Kiedy Francuzi stwierdzili, że postanowiliśmy się bić dalej, zajęli w stosunku do nas wroga postawę. Nasz pół batalion wysunięty został jeszcze 10 km. na wschód od Dole. Tu po starciu z niemieckimi samochodami pancernymi i otoczeniu nas przez jednostki pancerne nieprzyjaciela rozproszyliśmy się. Dowódca naszej kompanii, por. Wró-

blewski, rozwiązał nasz oddział, zezwalając na mocy rozkazu Nacz. Wodza, ogłoszonego przez radio, na powrót do domu tym co są z Francji, nakazując innym przedostawać się do Anglii.

Teraz rozpoczyna się najbardziej fantastyczny etap w życiu plutonowego Orzechowskiego. W żadnym z portów nie może spotkać statku, który przewiozłby go wraz z dwoma kolegami przez Kanał La Manche do Anglii. Wobec tego rozłącza się z nimi powziawszy decyzję powrotu do domu, do matki, mieszkającej blisko pod Poznaniem. Naciąga ubranie cywilne na mundur, wsiada na zdobyczny rower. Odebrał go jednemu z Francuzów.

— Czy natychmiast ruszył Pan w daleką drogę? pytamy.

— Nie, odpowiada Orzechowski, dopiero po trzech tygodniach pobytu na wsi puściłem się w podróż. Jechałem przez Belgię i Holandię.

— Czy nie zatrzymano Pana na granicy? — Ale gdzie — mówi Orzechowski tonem człowieka, dla którego przejście granicy nie przedstawia żadnej trudności.

Pedałuje przez Kolonię, Dortmund, Hannover, Brunświk. Po raz pierwszy policja zatrzymuje go pod Poczdamem. Spędza noc w komisariacie. Przesłuchuje go naczelnik Gestapo. Orzechowski łączy mu w żywe oczy, że jest robotnikiem polskim, który mieszkał we Francji, i że teraz wraca do domu. Gestapowiec uwierzył. Każę mu jechać dalej i nic nie mówić, że został tutaj zatrzymany. Po dziewięciu dniach Orzechowski przybywa do domu. Ma za sobą 1800 km. Na godzinę jechał przeciętnie 15 do 16-tu km. Jest w domu. Rzuca się w ramiona starej matce, która nie chce wierzyć własnemu szczęściu.

Cała ta historia naprawdę brzmi jak bajka. Bo proszę tylko pomyśleć. W okresie największej wojny jaką znał dotychczas świat — ten młody

c, d. na str. 8.

POLACY NAD NIEMCAMI

„BOMBARDOWAŁEM KOLONIĘ”

Londyn, 2. VI.

Jeden z lotników polskich, pilot w stopniu kapitana, który brał udział w wyprawie na Kolonię opowiedział przed mikrofonem radia londyńskiego przebieg sławnego raidu. Od tygodnia czekaliśmy na rozkaz. Wiedzieliśmy, a raczej przeczuwaliśmy, że zaności się na coś większego. Kiedy w sobotę komunikat meteorologiczny był pomyślny — dowództwo zarządziło odprawę bojową. Z chwilą gdy usłyszeliśmy, że w wyprawie weźmie udział przeszło 1000 maszyn zrozumieliśmy, że będzie to lot epokowy. Odprawa odbyła się w tak zwanym „Operation room” (sali planowania). Wygląda ona jak małe kino. Krzesła ustawione rzędami, małe podium, z którego przemawia jeden z dowódców. Na ścianie wielka mapa, a na niej czerwoną wstęgą oznaczona trasa lotu. Przy pomocy epidiaskopu pokazano nam zdjęcia celu, który mieliśmy zaatakować. Po odprawie krótka przerwa i spoczynek. Wystartowaliśmy z pomyślnym wiatrem. Nad wybrzeżem holenderskim zaskoczyła nas nieczyłka cisza. Jedynie sporadycznie ostrzeliwała nas artyleria przeciwlotnicza. Wkrótce zrozumieliśmy komu to zawdzięczamy.

Drogę nad Niemcy „wymyślały” nasze dywizyjny myśliwskie. Pracały bardzo dokładnie. Łuna pożarów znaczyła drogę do Kolonii. Ogień

niemieckiej artylerii przeciwlotniczej był bardzo słaby i bezradny. Mieśliśmy wrażenie, że obsługa jest wyczerpana nerwowo. Trafiliśmy nad Kolonię w środkowej fazie bitwy. Miasto stało już w ogniu. Zrzuciliśmy nasze ładunki w morze płonien i odnieśliśmy wrażenie, że po

po każdym uderzeniu bomby pożar jakgdyby gasł.

Drogę powrotną odbyliśmy w całkowitym spokoju.

Nie był to pierwszy lot polskiego lotnika nad Kolonię. Był on tam już raz. Uczestniczył również w wyprawach na Lubeck, Rostock i Hamburg.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Traktat Sowiecko-Brytyjski

Londyn, 11. VI.

W czwartek o godz. 16-ej minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Anthony Eden, złożył następujące oświadczenie w Izbie Gmin: Wielka Brytania i Związek Sowiecki podpisały traktat o wzajemnej pomocy w wojnie z Niemcami. 21-go maja przybył do Wielkiej Brytanii przedstawiciel rządu Sowieckiego, Molotow, a w pięć dni później nastąpiło podpisanie traktatu.

Jak podkreślił w swej deklaracji minister Eden — Wielka Brytania i Związek Sowiecki doszły do pełnego zrozumienia konieczności stworzenia drugiego frontu w Europie jeszcze w 1942 roku.

Rząd Stanów Zjednoczonych przez cały czas obrad dokładnie był informowany o ich przebiegu. 27 maja Komisarz Molotow opuścił na pokładzie bombowca Wielką Brytanię i udał się do Waszyngtonu, gdzie przeprowadził szereg rozmów z prezydentem Rooseveltem, uwieczonych podpisaniem porozumienia (agreement). Dopiero po powrocie do Moskwy Molotowa, którego podróż trzymana była w najściślejszej tajemnicy, w czwartek, o godzinie 16-ej ogłoszono wiadomość o podpisaniu traktatu. (Tekst traktatu podamy w następnym numerze)

„Rozkład jazdy R. A. F.-u”

31 maja — 1250 samolotów brytyjskich i polskich bombardowało Kolonię.

2 czerwca — 1036 samolotów R.A.F.-u dokonało raidu na Essen.

3 czerwca — ponowne bombardowanie Essen.

4 czerwca — R. A. F. zaatakował Bremę.

7 czerwca — zespoły najlepszych bombardowców dokonały nalotu na Emden.

9 czerwca — przedmiotem ataków lotniczych są miasta Dortmund i Bochum.

* * *

Niezależnie od tego, dniem i nocą, nieustannie, formacje brytyjskie i polskie atakują północną Francję, Belgię i Holandię. Dieppe, Boulogne, Calais, Ostenda, Brugge — otoniasta — którym R. A. F. najczęściej składa wizyty.

ODWET ZA PEARL HARBOUR

Kłeska floty japońskiej na Pacyfiku

Londyn, 8. VI.

Wielka bitwa morska u wybrzeży wysp Midway jest zakończona. Rozbita i pokaleczona flota japońska wycofała się tak szybko, że ścigające ją amerykańskie jednostki wojenne nie zdążyły dotąd nawiązać z nią kontaktu. Prasa amerykańska i brytyjska jednomyślnie podkreślają doniosłość zwycięstwa na wodach Oceanu Spokojnego. Zdaniem komentatora wojkowego radia londyńskiego — zwycięstwo to posiadać może decydujące znaczenie nie tylko dla

losów wojny na Pacyfiku, ale również dla rozwoju wypadków wojennych na Zachodzie.

Po pierwsze klęska ta całkowicie pokrzyżowała japońskie plany inwazyjne na wyspy Midway. Po drugie dzięki zatopieniu wielkich japońskich jednostek morskich zmienił się stosunek sił na Pacyfiku. Będzie to miało wielki wpływ na losy wojny, bowiem te siły, które Wielka Brytania zmuszona byłaby wysłać na Daleki Wschód — teraz, na skutek tak poważnej klęski japońskiej ma-

rynarki, zostać mogą na zachodzie i w wschodzie Europy.

Jak pisze prasa amerykańska — próba inwazji japońskiej na wyspy Midway była bardzo poważnym przedsięwzięciem. Wyspy te są bowiem bazą operacyjną lotnictwa amerykańskiego. Stąd do wysp Hawajskich jest tylko 1300 km. Wyspy Midway w rękach japońskich poważnie zagroziłyby amerykańskiej bazie lotniczej Pearl Harbour na wyspach Hawajskich.

Głównodowodzący marynarką amerykańską, admirał King oświadczył, że cios zadany Japończykom u wybrzeży wysp Midway jest odwetem za atak, w pierwszym dniu wojny, na Pearl Harbour.

Japończycy stracili dwa, względnie nawet trzy lotniskowce, z wszystkimi samolotami. Ponadto jeden lotniskowiec został ciężko uszkodzony. Dalej uszkodzono 3 pancerniki, 4 krążowniki i dwa transportowce japońskie. Niektóre z tych okrętów są tak ciężko uszkodzone, że wątpliwe jest czy dopłynęły do swych baz.

PLUT. ORZECHOWSKI OPOWIADA

dokończenie ze str. 7-ej

człowiek, najspokojniej w świecie, jedzie sobie na rowerze przez pół Europy, niezatrzymany prawie wcale przez policję. Rzeczywiście mit o doskonałości Gestapo jest tylko mitem.

Po krótkim pobycie w domu, Gestapo zaczyna się nim interesować. Orzechowski siada znów na swój wierny rower, z zamiarem ponownego przedostania się do Rumunii. Tym razem jednak szczęście mu nie sprzyja.

Podróż jego kończy się w Kutach. Nie skończył się jednak kres jego wędrowki. Teraz plutonowy Orzechowski jest już w wojsku, marzy o dalszej walce, o tym by jak najkrótszą drogą powrócić do Polski.

Zetbe.

JESTEŚMY WDZIĘCZNI POLSCE

Brytyjski minister o polskich lotnikach

Londyn 8. VI.

Sir Archibald Sinclair, brytyjski minister lotnictwa, wystosował do gen. Sikorskiego list następującej treści:

„Drogi Panie Premierze!

101 załóg polskich wzięło udział w operacjach na Kolonii i Zagłębie Ruhry, przeprowadzonych na wielką skalę. Lotnicy Królewskich Sił Powietrznych nauczyli się po dziwiać wartość, zawzięłość i sprawność swych polskich sprzymierzeńców. W ostatnich operacjach

wykazali oni jak wspaniały jest wkład Polski w niszczeniu nieprzyjacielskiej potęgi wojennej. Jesteśmy wdzięczni Panu Generałowi za te groźne dla nieprzyjaciela dywizyjny lotnicze; jesteśmy na nie wdzięczni Polsce.

Szczerze oddany —

Sir Archibald Sinclair”.

Generał Sikorski odpowiedział na powyższy list tymi słowami:

„Właśnie otrzymałem list Pański, za który bardzo dziękuję. Słowa, w których wspomina Pan o rezultatach osiągniętych przez nasze

dywizyjny i o wysiłkach naszych załóg, były źródłem dużego dla mnie zadowolenia. Ucieszyła mnie również bardzo wiadomość, że polskie lotnictwo nie mała rolę odegrało w tych pamiętnych lotach, skrzydło przy skrzydle ze sławnym lotnictwem królewskim, przyczyniając się do zniszczenia potencjału wojennego naszego wroga. Z przyjemnością komunikuję Panu, że treść Jego listu zostaje włączona do najbliższego rozkazu dziennego polskiego lotnictwa”.